

Albert Camus

„GOŚĆ”

(ze zbioru opowiadań „Wygnanie i królestwo”)

Nauczyciel patrzył na dwóch mężczyzn zmierzających w jego stronę. Jeden był na koniu, drugi szedł pieszo. Nie wspięli się jeszcze na stromą ścieżkę wiodącą do szkoły zbudowanej na stoku pagórka. Z wysiłkiem posuwali się wolno po śniegu, pomiędzy kamieniami, na ogromnej przestrzeni pustynnego płaskowzgórza. Koń potykał się od czasu do czasu. Nie słychać go było jeszcze, ale widać było parę buchającą z jego nozdrzy. Przynajmniej jeden z mężczyzn znał okolicę. Posuwali się ścieżką, która znikła jednak od wielu dni pod białą i brudną powłoką. Nauczyciel obliczył, że będą na pagórku dopiero za pół godziny. Było zimno; wrócił do szkoły po sweter.

Przeszedł przez pustą i zimną klasę. Na czarnej tablicy cztery rzeki Francji, narysowane kredą w czterech różnych kolorach, od trzech dni płynęły ku swym ujściom. Śnieg spadł nagle w połowie października po ośmiu miesiącach suszy, po której nie nastąpiły deszcze, i dwudziestu uczniów mieszkających w wioskach rozsianych na płaskowzgórzu przestało chodzić do szkoły. Trzeba było czekać na pogodę. Daru palił tylko w pokoju przylegającym do klasy, który służył mu za mieszkanie; drzwi pokoju wychodziły także na płaskowzgórze od strony wschodniej. Okno, podobnie jak okna klasy, na południe. Z tej strony szkoła znajdowała się w odległości kilku kilometrów od miejsca, gdzie płaskowz-górze zaczynało opadać ku południowi. Przy dobrej pogodzie widać było fioletową masę górzystego zbocza, za którym otwierały się bramy pustyni.

Daru, trochę rozgrzany, wrócił do okna, z którego ujrzał mężczyzn po raz pierwszy. Nie było ich już widać. Weszli więc na stromą ścieżkę. Niebo było mniej ciemne: w nocy śnieg przestał padać. Poranek wstał w brudnym świetle, które nieznacznie przybierało na sile, w miarę jak sklepienie z chmur wznosiło się w górę. O drugiej po południu zdawało się, że dzień się dopiero zaczyna. Ale było to lepsze od tych trzech dni, kiedy gęsty śnieg padał w nieustannych ciemnościach, a nagle podmuchy wiatru wstrząsały podwójnymi drzwiami klasy. Daru przez długie godziny siedział cierpliwie w swoim pokoju, z którego wychodził tylko do przybudówki, żeby nakarmić kury i przynieść węgla. Na szczęście ciężarówka z Tadjid, najbliższej wsi na północy, przywiozła żywność na dwa dni przed zawieją. Powróci za czterdzieści osiem godzin.

Miał zresztą dość zapasów, żeby przetrzymać oblężenie:

w pokoju stały worki ze zbożem przysłanym przez administrację, miał je rozdać tym uczniom, których rodziny padły ofiarą suszy. Ale nieszczęście dotknęło wszystkich, wszyscy bowiem byli biedni. Codziennie Daru dawał trochę zboża dzieciom. Brakowało im tego zboża, wiedział o tym dobrze, podczas dni niepogody. Może jakiś ojciec lub starszy brat znajdzie wieczorem i Daru będzie mógł dać im ziarna. Trzeba jakoś przetrwać do następnych zbiorów, ot i tyle. Statki **ze** zbożem przyływały teraz z Francji, najgorsze minęło. Ale trudno będzie zapomnieć o tej nędzy, o tej armii cieniów w łąkach błakających się w słońcu, o płaskowzgórzu, które palił żar, miesiąc po miesiącu, o ziemi dosłownie wypróżnionej i kurczącej się z wolna, o kamieniach rozsypujących się pod stopą. Barany ginęły tysiącami i, tu i ówdzie, ludzie, chociaż nie zawsze wiedziało się o tym.

W obliczu tej nędzy on, który żył jak mnich niemal w swej zapadłej szkole, zadowolony zresztą z surowego życia, jakie wiódł, i z tego, co posiadał, czuł się wielkim panem, mając tynkowane ściany, wąską kanapę, półki z białego drewna, studnię i co tydzień zaopatrzenie w wodę i żywność. I nagle ten śnieg, niespodziewanie, bez ulgi deszczu. Taki był ten kraj, gdzie życie było okrutne nawet bez ludzi, którzy zresztą nie zmieniali niczego. Ale Daru tu się urodził. Wszędzie indziej czuł się wygnańcem.

Wyszedł i skierował się na taras przed szkołą. Dwaj mężczyźni znajdowali się teraz w połowie wysokości stoku. W jeźdźcu rozpoznał Balducciego, starszego żandarma, którego znał od dawna. Balducci prowadził na sznurze Araba, który postępował za nim ze związanymi dłońmi i pochylonym czołem. Żandarm przywitał nauczyciela gestem, na który Daru nie odpowiedział, cały pochłonięty obserwacją Araba ubranego w dżelabę, ongi niebieską, w sandałach, ale i w skarpetkach z grubej, surowej wełny i w małym fezie na głowie. Zbliżali się. Balducci jechał stępą, żeby koń nie uderzył Araba; grupa posuwała się wolno.

Z odległości, z której dobiegał głos, Balducci krzyknął:

— Trzy kilometry z El Aneur zrobiliśmy w godzinę! Daru nie odpowiedział. Krótki i kwadratowy w swym grubym swetrze, patrzył, jak się wspinają. Ani razu Arab nie podniósł głowy.

— Bywajcie — powiedział Daru, kiedy pojawili się na tarasie. — Wejdźcie się ogrzać.

Balducci zsiadł ciężko z konia nie wypuszczając sznura. Uśmiechnął się do nauczyciela pod nastroszonym wąsem. Małe, ciemne i głęboko osadzone oczy pod opalonym czołem i okolone zmarszczkami usta nadawały mu wyraz uważny i pilny. Daru wziął konia za uzdę, zaprowadził go do przybudówki i wrócił do mężczyzn, którzy czekali teraz na niego w szkole. Wprowadził ich do swego pokoju.

— Napalę w klasie — powiedział. — Tam będzie nam wygodniej.

Kiedy znowu wszedł do pokoju, Balducci siedział na kanapie. Rozwiązał sznur łączący go z Arabem, Arab przykucnął przy piecu. Ręce miał wciąż

związane, fez zsunięty teraz na tył głowy; patrzył w stronę okna. W pierwszej chwili Daru zobaczył tylko jego wielkie wargi, pełne, gładkie, murzyńskie niemal; nos jednak miał prosty, oczy ciemne i rozpalone gorączką. Fez odstłonił uparte czoło i cała twarz Araba o skórze ciemnej, ale nieco przybladłej od zimna, miała wyraz niespokojny i zbuntowany zarazem, który uderzył Daru, gdy Arab, zwracając się twarzą ku niemu, spojrzął mu prosto w oczy.

— Przejdźcie do klasy — powiedział nauczyciel — zrobię wam miętowej herbaty.

— Dzięki — odparł Balducci. — Co za życie! Ale niedaleko mi już do emerytury. — I zwrócił się do więźnia po arabsku: — Chodź.

Arab wstał i powoli, trzymając przed sobą ręce związane w przegubach, przeszedł do klasy.

Daru wraz z herbatą przyniósł krzesło. Ale Balducci rozsiadł się już na pierwszej ławce szkolnej, Arab **zaś** przykucnął obok katedry, naprzeciw pieca, który znajdował się między biurkiem a oknem. Kiedy Daru podawał szklankę z herbatą więźniowi, zawahał się na widok związanych rąk.

— Można mu rozwiązać ręce?

— Oczywiście — powiedział Balducci. — To tylko na czas podróży.

Zrobił ruch, jakby chciał wstać. Ale Daru, stawiając szklankę na ziemi, przykląkł obok Araba. Arab, nie mówiąc słowa, patrzył na niego płonącymi od gorączki oczami. Kiedy miał już wolne ręce, potarł o siebie nabrzmiałe przeguby, wziął szklankę herbaty i wypił palący płyn małymi, szybkimi łykami.

— W porządku — powiedział Daru. — I dokąd tak jedziecie?

Balducci wyjął wąsy z herbaty:

— Do ciebie, synu.

— Szczególni uczniowie! Zostaniecie na noc?

— Nie. Wracam do El Ameer. A ty odprowadzisz kolegę do Tinguit. Czeka ją na niego w urzędzie gminnym. Balducci patrzył na Daru z przyjaznym uśmiechem.

— Co to znaczy? — rzekł nauczyciel. — Kpisz sobie ze mnie?

— Nie synu. Takie są rozkazy.

— Rozkazy? Nie jestem... — Daru zawahał się; nie chciał zrobić przykrości staremu Korsykaninowi. — To nie mój fach.

— I co z tego? Podczas wojny robi się wszystko.

— W takim razie poczekam na wypowiedzenie wojny! Balducci zgodził się skinieniem głowy.

— Dobrze. Ale to są rozkazy, rozkazy ciebie także dotyczą. Nie jest spokojnie; słyszałem, że szykują bunt. Można powiedzieć, że jesteśmy zmobilizowani.

Daru czekał z wyrazem uporu.

— Posłuchaj, synu — powiedział Balducci. — Bardzo cię lubię, ale zrozum. Jest nas dwunastu w El Ameer, żeby patrolować teren wielkości małego departamentu; muszę wracać. Powiedziano mi, że mam ci powierzyć to

ziółko i wrócić natychmiast. Nie można go było tam zostawić. W jego wsi ludzie się burzą, chcieli go odbić. Musisz go odprowadzić jutro do Tinguít. Dwadzieścia kilometrów nie przerazi takiego chłopca jak ty. Potem będziesz miał spokój. Wrócisz do swych uczniów i spokojnego życia.

Słysząc było, jak koń parska i uderza kopytem za ścianą. Daru patrzył przez okno. Pogoda poprawiała się wyraźnie, światło rozszerzało się na zasnieżonym płaskowzgórzu. Kiedy cały śnieg się roztopi, słońce znów zapanuje i raz jeszcze wypali kamienne pola. I znowu niewyczerpane niebo zalewać będzie suchym światłem samotną przestrzeń, gdzie nic nie nasuwa myśli o człowieku!..

— Co on zrobił? — zapytał zwracając się do Balducciego. Zanim żandarm otworzył usta, dodał: — Czy mówi po francusku?

— Nie, ani słowa. Szukano go od miesiąca, ale oni go ukrywali. Zabił swego kuzyna.

— Jest przeciwko nam?

— Chyba nie. Ale czy to można wiedzieć.

— Dlaczego zabił?

— Sprawy rodzinne. Podobno jeden był winien zboże drugiemu. Nie bardzo wiadomo. Krótko mówiąc, zabił kuzyna na nożem ogrodniczym. Wiesz, jak barana, ciach!..

Balducci zrobił ruch, jak gdyby ciągnął ostrzem po szyi, i Arab, którego uwagę zwrócił ten ruch, patrzył na niego z pewnym niepokojem. Daru poczuł, jak ogarnia go nagle gniew na tego człowieka, na wszystkich ludzi i ich obrzydliwą złość, ich niespożyta nienawiść i niepohamowane szaleństwo.

Czajnik śpiewał na piecu. Daru podał znów herbatę Balducciemu, zawahał się, potem nalał Arabowi, który i tym razem wypił chciwie. Gdy uniósł ręce, rozchyliła się dżelaba i nauczyciel ujrzał jego szczupłą i muskularną pierś.

— Dziękuję, chłopcze — powiedział Balducci. — A teraz leć.

Wstał i skierował się ku Arabowi wyciągając sznur z kieszeni.

— Co robisz? — zapytał Daru sucho. Zdumiony Balducci pokazał mu sznur.

— Nie trzeba.

Stary żandarm zawahał się.

— Jak chcesz. Masz oczywiście broń?

— Mam strzelbę do polowania.

— Gdzie?

— W kufrze.

— Powinieneś ją mieć przy łóżku.

— Po co? Nic mi nie grozi.

— Źle masz w głowie, synu. Jeśli zaczną, nikt z nas nie będzie bezpieczny, wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

— Będę się bronił. Mam czas, będę widział, jak nadchodzą. Balducci zaczął się śmiać, potem wąsy zasłoniły nagle jego białe jeszcze zęby.

— Masz czas? Dobrze. To właśnie mówiłem. Zawsze byłeś trochę zwa-
riowany. Dlatego cię lubię, mój syn był taki.

Jednocześnie wyciągnął rewolwer i położył go na biurku.

— Masz, nie trzeba mi dwóch rodzajów broni w drodze do El Aneur.

Rewolwer błyszczał na czarno malowanym stole. Kiedy żandarm odwrócił się w jego stronę. Daru poczuł zapach skóry i konia.

— Posłuchaj, Balducci — powiedział nagle Daru — wszystko to mnie
brzydzi, a twój facet najwięcej. Ale nie wydam go. Mogę bić się, jeśli trzeba,
i owszem. Ale nie to.

Stary żandarm stał przed nim i patrzył na niego surowo.

— Robisz głupstwa — powiedział powoli. — Ja także tego nie lubię. Czło-
wiek nie przyzwyczajają się do tego, żeby prowadzić ludzi na sznurze,
a nawet, tak, nawet mu tego wstyd. Ale nie można pozwolić im na wszystko.

— Nie wydam go — powtórzył Daru.

— To rozkaz, synu. Powtarzam ci.

— Zgoda. Powtórz im, co ci powiedziałem: nie wydam go. Widać było, że
Balducci się zastanawia. Patrzył na Araba i Daru. Zdecydował się wreszcie.

— Nie, nic im nie powiem. Jeśli chcesz nas puścić kantem, proszę bardzo,
ale nie będę na ciebie donosić. Kazano mi odstawić więźnia; zrobiłem to.
A teraz podpisz mi papier.

— To zbyt cenne. Nie powiem, żeś mi go nie przyprowadził.

— Nie dokuczaj mi. Wiem, że powiesz prawdę. Jesteś stąd, jesteś męż-
czyzną. Ale musisz podpisać, takie są przepisy.

Daru otworzył szufladę, wyjął małą kwadratową butelkę z fioletowym
atramentem i piórnik z czerwonego drewna, gdzie znajdowało się pióro ron-
dowe, którego używał na lekcjach kaligrafii, i podpisał. Żandarm złożył sta-
rannie papier i schował go do portfela. Potem ruszył ku drzwiom.

— Odprowadzę cię — powiedział Daru.

— Nie — rzekł Balducci. — To zbyt duża uprzejmość. Obraziłeś mnie.

Spojrzał na Araba siedzącego bez ruchu na tym samym miejscu, sapnął
smutno i odwrócił się ku drzwiom:

— Do widzenia, synu! — powiedział.

Drzwi trzasnęły za nim. Balducci pojawił się pod oknem, potem zniknął.
Jego kroki głużył śnieg. Koń poruszył się za przepierzeniem, płosząc kury.
W chwilę potem Balducci ukazał się znów pod oknem prowadząc konia za
uzdę. Nie odwracając się szedł w stronę stromej ścieżki; znikł pierwszy, koń
za nim. Słysząc było, jak miękko spada wielki kamień. Daru powrócił do
więźnia, który nie poruszył się, ale nie spuszczał z niego oczu.

— Zaczekaj — powiedział nauczyciel po arabsku i skierował się do pokoju.

Kiedy przekraczał próg, przystanął, podszedł do biurka, wziął rewolwer
i wsunął go do kieszeni. Potem nie odwracając się wszedł do pokoju.

Długo leżał na kanapie patrząc, jak niebo zamyka się z wolna, i słuchając
ciszy. Ta cisza wydawała mu się przykra w pierwszych dniach po przyjeździe,
po wojnie. Poprosił o posadę w miasteczku u stóp górzystego zbocza oddzie-

lającego wysokie płaskowzgórza od pustyni. Skaliste ściany, zielone i czarne na północy, różowe i fioletowe na południu, znaczyły granicę wiecznego lata. Skierowano go bardziej na północ, na płaskowzgórze. Z początku samotność i cisza ciążyły mu na tych niewdzięcznych ziemiach zamieszkałych tylko przez kamienie. Czasem patrząc na bruzdy można było pomyśleć, że to uprawne pole, ale bruzdy żłobiono po to, by wydobyć pewien gatunek kamienia nadający się do budowli. Ludzie orali, żeby zbierać kamienie. Kiedy indziej wygrze-

bywano wióry ziemi ukrytej w zagłębieniach, żeby użyźnić nędzne ogrody wiejskie. Tak, kamień pokrywał trzy czwarte tego kraju. Miasta rodziły się tu, rozbłyskiwały, potem znikwały; ludzie przechodzili przez nie, kochali się lub skakali sobie do gardła, potem umierali. Na tej pustyni każdy, i on, i jego gość, był niczym. A jednak ani jeden, ani drugi nie mogli bez tej pustyni żyć naprawdę. Daru o tym wiedział.

Kiedy wstał, żaden odgłos nie dochodził z klasy. Zdumiała go szczerą radość, jaką poczuł na samą myśl o tym, że Arab mógł uciec i że znajdzie się sam, wolny od wszelkiej decyzji. Ale więzień był w klasie. Wyciągnął się tylko na podłodze między piecem i biurkiem. Oczy miał otwarte i patrzył w sufit. W tej pozycji widać było wyraźnie jego grube wargi, które nadawały mu nadąsany wyraz.

— Chodź — powiedział Daru.

Arab wstał i poszedł za nim. W pokoju nauczyciel wskazał mu krzesło przy stole, pod oknem. Arab usiadł, nie przestając patrzeć na Daru.

— Jesteś głodny?

— Tak — odparł więzień.

Daru postawił dwa nakrycia. Wziął mąkę i oliwę, ugniół na półmisku placek i zapalił kuchenkę gazową. Podczas gdy placek piekł się, wyszedł do przybudówki po ser, jajka, daktyle i mleko skondensowane. Kiedy placek był gotów, położył go na parapecie okna, by ostygł, zagrzał mleko skondensowane rozprowadziwszy je wodą i na koniec ubił jajka na omlet. W pewnej chwili zawadził o rewolwer tkwiący w prawej kieszeni. Postawił naczynie, przeszedł do klasy i włożył rewolwer do szuflady biurka. Kiedy wrócił, noc zapadała. Zaświecił światło i podał jedzenie Arabowi:

— Jedz — powiedział.

Arab wziął kawałek placka, podniósł go szybko do ust i zatrzymał się.

— A ty? — zapytał.

— Zjedz ty najpierw. Będę jadł także. Grube wargi rozchyliły się lekko. Arab zawahał się, potem śmiało ugryzł kawałek placka.

Skończywszy posiłek spojrzął na nauczyciela.

— To ty jesteś sędzią?

— Nie, zostajesz u mnie do jutra.

— Dlaczego jesz ze mną?

— Jestem głodny.

Arab zamilkł. Daru wstał i wyszedł. Przyniósł z przybudówki łóżko polowe i

ustawił je między stołem i piecem, prostopadłe do swego łóżka. Z wielkiej walizy stojącej w rogu, która służyła mu za półkę do papierów, wyjął dwa koce i ułożył je na łóżku polowym. Potem zatrzymał się czując, że nie ma nic do roboty, i usiadł na łóżku. Wszystko już zrobił i przygotował. Teraz trzeba było patrzeć na tego człowieka. Patrzył więc na niego starając się wyobrazić sobie tę twarz w przypiływie szaleństwa. Ale nie potrafił. Widział tylko ciemne i błyszczące oczy, i zwierzęce usta.

— Dlaczego go zabiłeś? — powiedział głosem, którego wrogość go zdumiała.

Arab odwrócił spojrzenie.

— Uciekł. Pobiegnę za nim.

Podniósł na Daru oczy i oczy te były jednym nieszczęsnym pytaniem.

— Co mi teraz zrobią?

— Boisz się?

Arab zeszywniał i odwrócił oczy.

— Zabijesz?

Arab patrzył na niego z otwartymi ustami. Widać było, że nie rozumie. Rozdrażnienie ogarniało Daru. Jednocześnie czuł się niezgrabnie i obco w swoim ciężkim ciele tkwiącym między dwoma łóżkami.

— Połóż się — powiedział niecierpliwie. — To twoje łóżko.

Arab nie ruszał się. Zawołał Daru:

— Słuchaj!

Nauczyciel spojrział na niego.

— Żandarm wróci jutro?

— Nie wiem.

— Pójdiesz z nami?

— Nie wiem. Dlaczego?

Więzień wstał i wyciągnął się na kocach, nogami ku oknu. Światło żarówki elektrycznej padało mu prosto w oczy; zamknął je natychmiast.

— Dlaczego? - powtórzył Daru stojąc przy łóżku. Arab otworzył oczy pod oślepiającym światłem i patrzył na niego usiłując nie mrugać powiekami.

— Chodź z nami — powiedział.

W połowie nocy Daru wciąż nie spał. Położył się do łóżka zupełnie rozebrany: zazwyczaj spał nago. Ale kiedy znalazł się bez ubrania w pokoju, zawahał się. Czuł się bezbronny, ogarnęła go chęć, żeby się ubrać. Potem wzruszył ramionami; nie z takimi miał już do czynienia; jeśli będzie trzeba, da już sobie z nim radę. Ze swego łóżka mógł go obserwować: leżał na plecach, wciąż nieruchomy, z oczami zamkniętymi pod ostrym światłem. Kiedy Daru zgasił, zdawało się, że ciemności stężyły nagle. Z wolna noc ożywała w oknie, gdzie niebo bez gwiazd drżało lekko. Nauczyciel odróżnił wkrótce ciało wyciągnięte obok. Arab ciągle leżał

bez ruchu, ale zdawało się, że oczy ma otwarte. Lekki wiatr wałęsał się wokół szkoły. Może przepędzi chmury i słońce powróci.

W nocy wiatr przybrał na sile. Kury zagdakały, potem zamilkły. Arab od-

wrócił się na bok, plecami do Daru, i nauczycielowi wydało się, że słyszy jęk. Śledził jego oddech, który stał się silniejszy i bardziej regularny. Słuchał tego oddechu dochodzącego z tak bliska i rozmyślał nie mogąc usnąć. W tym pokoju, gdzie od roku spał sam, ta obecność go krępowała. Ale krępowała go także dlatego, że narzucała mu jakieś braterstwo, które odrzucał w obecnych warunkach, a które znał dobrze: między mężczyznami, żołnierzami czy więźniami, którzy mieszkają razem, powstaje szczególna więź, jak gdyby, porzuciwszy swój rynsztunek wraz z ubraniem, łączyli się co wieczór, ponad tym, co ich dzieli, w odwiecznej wspólnocie snu i zmęczenia. Ale Daru otrząsnął się; nie lubił tych głupstw, trzeba było spać.

Nieco później jednak, kiedy Arab poruszył się niedostrzegalnie, nauczyciel wciąż nie spał. Przy drugim poruszeniu się więźnia znieruchomiał w czujnym napięciu. Arab unosił się powoli na rękach, ruchem niemal somnambulicznym. Siedząc na łóżku czekał bez drgnienia, nie zwracając głowy w stronę Daru, jak gdyby nasłuchiwał z największą uwagą. Daru nie ruszał się: pomyślał, że rewolwer został w szufladzie biurka. Należało działać szybko. Obserwował jednak nadal więźnia, który tym samym naoliwionym jakby ruchem spuścił nogi na ziemię, czekał jeszcze, potem wyprostował się powoli. Daru miał go zawołać, kiedy Arab zaczął iść, tym razem krokiem naturalnym, ale niezwykle cichym. Szedł ku drzwiom w głębi wychodzącym do przybudówki. Odsunął ostrożnie zasuwkę i wyszedł zostawiając za sobą drzwi otwarte. Daru się nie ruszał: „Ucieka — pomyślał tylko. — Pozbyłem się kłopotu!” Nasłuchiwał jednak. Kury siedziały cicho; Arab był więc na płaskowzgórzu. Dobiegł go słaby odgłos wody i zrozumiał co to znaczy dopiero wówczas, gdy Arab znów stanął w drzwiach, zamknął je starannie i położył się bez najmniejszego hałasu. Wtedy Daru odwrócił się do niego plecami i zasnął. Trochę później zdawało mu się, że słyszy z głębi snu kroki skradające się wokół szkoły. „Śnię, śnię!” — powtarzał sobie. I spał.

Kiedy zbudził się, niebo było bez chmur; przez niedomknięte okno wchodziło zimne i czyste powietrze. Arab spał, skurczony teraz pod kocami, z otwartymi ustami, zupełnie bezbronny. Ale kiedy Daru nim potrząsnął, podskoczył gwałtownie i nie poznając Daru patrzył na niego obłąkanymi oczami z wyrazem takiego przerażenia, że nauczyciel cofnął się o krok.

— Nie bój się. To ja. Trzeba coś zjeść. Arab skinął głową i powiedział:

- Tak.

Spokój wócił na jego twarz, która zachowała jednak nieobecny i roztrągniony wyraz.

Kawa była gotowa. Wypili ją siedząc na polowym łóżku i gryząc placek. Potem Daru zaprowadził Araba do przybudówki i pokazał mu kran, gdzie się mył. Wrócił do pokoju, złożył koc i łóżko polowe, zaścił swoje łóżko i uporządkował pokój. Wyszedł przez klasę na taras. Słońce wznosiło się już na niebieskim niebie; delikatne i żywe światło zalewało puste płaskowzgórze. Śnieg topniał tu i ówdzie na stromej ścieżce. Znowu ukażą się kamienie. Na-

uczyciel przykucnąwszy na skraju płaskowzgórza patrzył na pustą przestrzeń. Myślał o Balduccim. Zrobił mu przykrość, odprawił go z kwitkiem, jak gdyby nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Słyszał jeszcze pożegnanie żandarma i nie wiadomo dlaczego czuł się dziwnie pusty i wystawiony na ciosy. W tej chwili Arab kaszlnął po drugiej stronie szkoły. Daru słuchał niemal wbrew woli, potem z wściekłością cisnął kamień, który zagwizdał w powietrzu, zanim zapadł w śnieg. Głupia zbrodnia tego człowieka oburzała go, ale wydać go byłoby sprzeczne z honorem: na samą myśl o tym czuł się upokorzony do szaleństwa. I przeklinał swoich, którzy przysłali mu tego Araba, i Araba, który odważył się zabić i nie potrafił uciec. Daru wstał, obszedł wkoło taras, zaczekał chwilę

i wrócił do szkoły.

Arab, schylony nad cementową podłogą przybudówki, mył sobie zęby dwoma palcami. Daru spojrział na niego i powiedział:

— Chodź.

Wszedł pierwszy do pokoju. Wciągnął na sweter kurtkę do polowania i obuł ciężkie buty. Czekał stojąc, aż Arab włoży fez i sandały. Przeszli do klasy i nauczyciel wskazał wyjście swemu towarzyszowi.

— Idź — powiedział. Arab nie ruszył się.

— Idę także — powiedział Daru.

Arab wyszedł, Daru wrócił do pokoju i zapakował trochę sucharów, daktyli i cukru. W klasie zawahał się na sekundę przed biurkiem, potem przekroczył próg i zarygłował drzwi.

— Tędy — powiedział.

Skierował się na wschód; więzień szedł za nim. Ale w niewielkiej odległości od szkoły wydało mu się, że słyszy jakiś hałas za sobą. Zawrócił, obszedł dom: nie było nikogo. Arab patrzył na niego, jakby nie rozumiejąc.

— Chodźmy — powiedział Daru.

Szli godzinę, potem odpoczęli przy wapiennej iglicy. Śnieg topniał coraz szybciej, słońce wypijało natychmiast kałuże i oczyszczało w pośpiechu płaskowzgórza. Kiedy ruszyli znowu, ziemia dźwięczała pod ich nogami. Od czasu do czasu ptak przecinał przestrzeń przed nimi z wesołym piskiem. Daru pił głębokimi haustami świeże światło. Jakieś uniesienie rodziło się w nim w obliczu tej wielkiej znajomej przestrzeni, niemal całkiem żółtej teraz pod czapką błękitnego nieba. Doszli do spłaszczonego wzgórza zbudowanego z kruchych skał. Począwszy od tego miejsca, płaskowzgórza zstępowało na wschodzie ku niskiej równinie, gdzie można było rozróżnić kilka nędznych drzew i, na południu, ku grupom skał, które nadawały pejzażowi niespokojny wyraz.

Daru spojrział w obu kierunkach. Na horyzoncie było tylko niebo, ani śladu człowieka. Odwrócił się ku Arabowi, który patrzył na niego nie rozumiejąc. Daru podał mu paczkę:

— Weź — powiedział — to daktyle, chleb i cukier. Wystarczy ci na dwa

dni. Masz także tysiąc franków.

Arab wziął paczkę i pieniądze, ale trzymał ręce na wysokości piersi, jakby nie wiedział, co ma robić z tym, co dostał.

— Spójrz teraz — powiedział nauczyciel i wskazał na wschód — oto droga do Tinguit. Masz stąd dwie godziny marszu. W Tinguit jest administracja i policja. Czekają na ciebie.

Arab patrzył na wschód, wciąż trzymając przy sobie paczkę i pieniądze. Daru wziął go za ramię i szorstko obrócił go o jedną czwartą, w stronę południa. U stóp wzniesienia, gdzie się znajdowali, można było odgadnąć zarys ledwie nakreślonej drogi.

— Ta ścieżka przecina płaskowzgórze. W ciągu jednego dnia dojdiesz do pastwisk i pierwszych koczowników. Przyjmą cię i schronią zgodnie z ich obyczajem.

Arab zwrócił się teraz w stronę Daru i widać było popłoch na jego twarzy:

— Posłuchaj — powiedział. Daru potrząsnął głową:

— Nie, milcz. Teraz cię zostawiam.

Odwrócił się do niego plecami, zrobił dwa wielkie kroki w kierunku szkoły, spojrzał z niepewnym wyrazem na stojącego bez ruchu Araba i odszedł. Przez kilka minut słyszał tylko własne kroki, dźwięczące na zimnej ziemi, i nie odwracał głowy. Po chwili jednak odwrócił się. Arab stał wciąż na skraju wzgórza, ze zwisającymi teraz rękami, i patrzył na nauczyciela. Daru poczuł skurcz w gardle. Ale zaklął zniecierpliwiony, skinął szeroko ręką i odszedł. Był już daleko, kiedy zatrzymał się znów i spojrzał. Na wzgórzu nie było już nikogo.

Daru zawahał się. Słońce było teraz dość wysoko na niebie i zaczynało mu palić czoło. Nauczyciel zawrócił, naprzód niepewnie, potem już zdecydowany. Kiedy doszedł do małego wzgórza, ociekał potem. Wspiął się z największym pośpiechem i stanął bez tchu na szczycie. Na południu skaliste pola rysowały się wyraźnie na niebieskim niebie, ale z równiny na wschodzie podnosił się już opar żaru. I w tej lekkiej mgłę Daru ze ściśniętym sercem zobaczył Araba, który szedł wolno drogą wiodącą do więzienia.

Nieco później, stojąc przy oknie w klasie, nauczyciel patrzył, nie widząc, na żółte światło, które z wysokości nieba spadało na całą powierzchnię płaskowzgórza. Za nim, na czarnej tablicy, pomiędzy meandrami rzek francuskich, widniał napis skreślony niewprawną ręką, który przed chwilą przeczytał: „Wydałeś naszego brata. Zapłacisz za to.” Daru patrzył na niebo, na płaskowzgórze i dalej, na niewidoczne ziemie ciągnące się aż do morza. W tym ogromnym kraju, który tak kochał, był sam.